

MOJE ZIELONE LATA

**„WRACAM DO CIEBIE ZAWSZE,
MOJA TY HISTORIO,
PEŁNAŚ TY KLĘSK I ZDRADY,
NA PRZEMIAN Z VIKTORIĄ”....**

LECH MAKOWIECKI



AUTOR W MUNDURKU HARCERSKIM – ZDJĘCIE SPRZED 1949 ROKU.

PRZEKAZY Z PRZESZŁOŚCI NIE ZAWSZE BYWAJĄ ZGODNE Z PRAWDĄ OBIEKTYWNA. WYNIKA TO BOWIEM Z WIELU PRZYCZYŃ. ZARÓWNO OBIEKTYWNYCH, GDYŻ POSTRZEGANE SĄ NIEPRECYZYJNIE I NIEZGODNIE Z FAKTAMI. ALE BYWAJĄ TEŻ TAKIE, GDZIE Z PREMEDITACJĄ KAMUFLUJE SIĘ, CZY WRĘCZ NAWET UTAJNIANIA PRAWDĘ HISTORYCZNĄ.

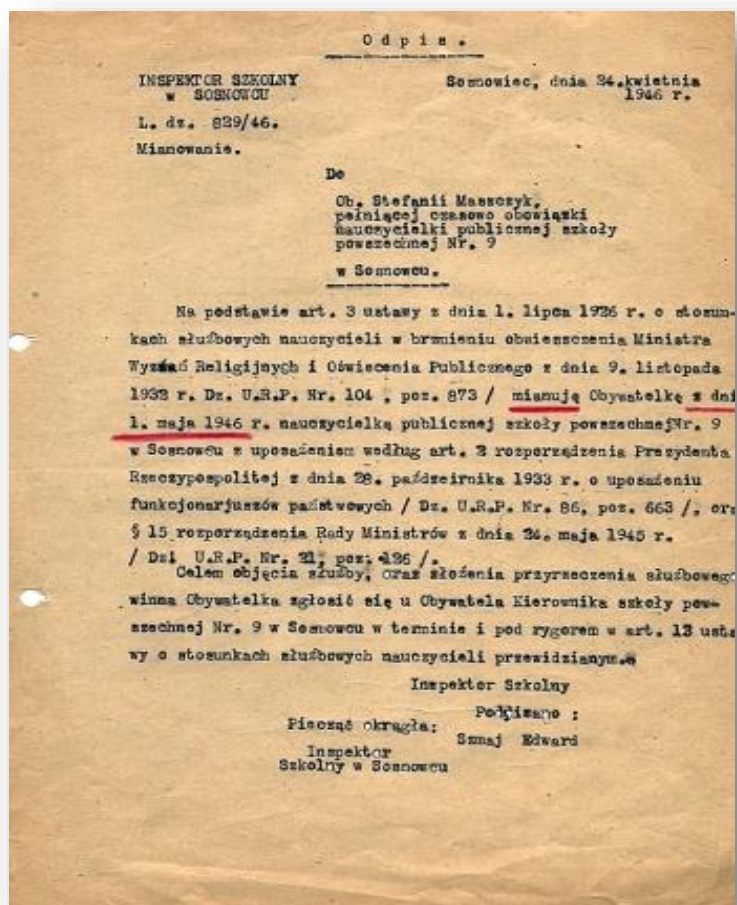
*** * * ***

Naukę w Publicznej Szkole Powszechnej stopnia trzeciego nr 9 im. Tadeusza Kościuszki w Sosnowcu, bo tak brzmiała wówczas jej oficjalna i pełna nazwa, podjąłem dopiero po 1945 roku. Precyzyjnej daty kiedy przekroczyłem mury tej wiekowej już szkoły, to niestety ale obecnie już jednak nie kojarzę. Z kolei dokumenty szkolne jakimi dysponuję są w wielu przypadkach niewiarygodne w porównaniu z rzeczywistością. Pamiętam tylko, co potwierdzają też zachowane dokumentu, że naukę rozpocząłem nie w pierwszej, ale zaraz w drugiej klasie. Podobnie jak starszy ode mnie o cztery lata brat – Wiesław, który zaraz trafił do szóstej klasy. Te procesy niemożliwości reprodukcji przeszłości znanych nam przecież kiedyś faktów nie są jednak wynikiem starczej amnezji. Ale pojawiły się z lawiną następujących po sobie pełnych splotów przeżyć z lat okupacji niemieckiej i zawirowań historycznych jakich mimo woli chyba wszyscy wtedy doznawaliśmy w związku z wprowadzaniem w Sosnowcu „**nowego ładu**” – jak to zjawisko po 1945 roku już

powszechnie określano. Po prostu pierwszą klasę miałem już zaliczoną jako odbytą w czasach okupacji niemieckiej na kompletach tajnego konspiracyjnego nauczania. Podobnie jak i mój brat Wiesław (Wiesiu niestety ale już zmarł 2022 roku), który na tego samego typu tajnych i konspiracyjnych kompletach zaliczył też, ale aż pięć klas szkoły podstawowej. Nauczyciele w przeciwieństwie do okresu II Rzeczypospolitej Polskiej nie mieli w tym jak go obecnie określamy – „*nieludzkim czasie*” - absolutnie jednak żadnych trudności nawet z pełnowymiarowym zatrudnieniem. Pracy bowiem po 1945 roku, to w zasadzie bywało w brud. Katastrofalnie prezentowało się natomiast tylko **świadczono za nią wynagrodzenie**. Ograniczenia w zatrudnieniu dotyczyły głównie tylko tych osób wobec, których władze komunistyczne miały jakieś zastrzeżenia polityczne, lub nie spełniały w 100 % wymogów przewidzianych w przepisach prawnych. Uczciwie należy jednak odnotować, że ówczesne powojenne prawo nie funkcjonowało w naszym kraju tak jak powinno. Już na początku tego artykułu warto więc chyba przypomnieć, że przez dłuższy jeszcze okres czasu po 1945 roku w szkolnictwie będą obowiązywały przepisy prawne zaczerpnięte z jurysdykcji międzywojennej. To było widoczne nawet gołym okiem. Oczywiście dla tych osób, które w miarę swobodnie poruszały się w kanonach przepisów prawnych oraz wśród tych które po prostu chciały to dostrzec. Bowiem ogromne rzesze dorosłych Polaków dźwigały jeszcze na swych barkach odziedziczony garb analfabetyzmu, który dopiero w latach 40. XX wieku będzie stopniowo rugowany.

* * * *

Mama, nauczycielka z tej samej szkoły, jednak już na początku 1945 roku miała ogromne kłopoty z pełnowymiarowym zatrudnieniem, analogicznie zresztą jak to było niestety ale też w okresie międzywojnia. W tym przypadku jednak tylko dlatego, że jej teczka ze wszystkimi dokumentami, w tym zaświadczenia pracy i świadectwa szkolne oraz dyplom ukończenia Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Marii Konopnickiej w Sosnowcu, całkowicie po 1939 roku gdzieś zaginęły. Zatrudnienie w oświacie, a konkretnie w Publicznej Szkole Powszechnej nr 9 im. Tadeusza Kościuszki w Sosnowcu uzyskała więc z początku tylko warunkowo, gdyż była w tym sosnowieckim nauczycielskim środowisku wprost doskonale znana, jeszcze z tamtych przedwojennych lat.



Ten przypadek jako wieloletni prawnik traktuję z głębokim ukłonem, gdyż obecnie przy braku takich dokumentów w żadnej placówce oświatowej, absolutnie by takiej osoby nie zatrudniono. To należy uczciwie stwierdzić i odnotować. Dokumentów mojej mamy po 1945 roku podenerwowani rodzice poszukiwali więc wszędzie, zarówno w dawnym Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie jak i w Inspektoracie Szkolnym w Sosnowcu oraz w Inspektoracie Szkolnym w Kielcach, a nawet i w Kuratorium Szkolnym w Katowicach. Bowiem od 1918 roku do września 1939 Sosnowiec administracyjnie należał do województwa kieleckiego. Jednak bezskutecznie. Teczkę pełną osobistych dokumentów, przedwojenni oświatowi urzędnicy gdzieś po prostu zagubili jeszcze w końcowych miesiącach przed wrześniem 1939 roku. W pewnym okresie czasu moi rodzice byli więc już tym wszystkim kompletnie załamani psychicznie. Wtedy wreszcie i to całkiem przypadkowo, gdzieś w miesiącu marcu 1945 roku zaginione dokumenty jednak się jakiś cudem nagle odnalazły. Leżały sobie ponoć spokojnie poza starą i zakurzoną szafą, w sosnowieckim Inspektoracie Szkolnym przy dawnej **ulicy Pierackiego** (od listopada 1939 – 1945 **Rathausstrasse**, od 1945 r. **Bronisława Pierckiego**, od 6.IX.1945 r. **Generalissimusa Józefa Stalina**, od 30.X.1956 do nadal **Aleja Zwycięstwa**). Jak się później okazało to przeleżały tam przez całą krwawą okupację niemiecką. Do tego jeszcze wpięte do specjalnej „**teczki nauczycielskiej**” opisanej czytelnie imieniem i nazwiskiem na awersie – jako Stefania Maszczyk. W teczce jaką zresztą zakładano wówczas dosłownie każdemu nauczycielowi z chwilą jak tylko podjął zatrudnienie w polskiej oświacie. Były w niej więc niej dokumenty potwierdzające też angaż mojej mamy **w szkole żydowskiej w Sosnowcu**, a pochodzące jeszcze z okresu II Rzeczypospolitej Polski. Przez następne więc miesiące moja mama i ojciec zastanawiali się, co by się stało, gdyby ta imienna teczka podczas okupacji niemieckiej jednak wpadła w ręce Gestapo ?..... Gdyż moja mama jak się to już później okazało była dosłownie tylko jedyną polską nauczycielką w Sosnowcu uczącą też w żydowskiej szkole, która wprost cudownie przeżyła okres okupacyjnego pogromu niemieckiego. Jak to więc było w tradycyjnym zwyczaju mojej mamy, byłej zresztą też jeszcze przedwojennej katechetki, zdrowaśkom i modlitwom do Świętego Antoniego nie było wówczas końca.



Zdjęcie z 1949, lub 1950 roku. Moja mama, Stefania Maszczyk w środkowym rzędzie. Wówczas już jako wychowawczyni klasy (?) - Szkoły Powszechnej nr 9 im Tadeusza Kościuszki w Sosnowcu. Zdjęcie wykonano tradycyjnie w typowym miejscu, od strony podwórka szkolno – osiedlowego, a konkretnie to po prawej stronie, tuż, tuż obok głównego wejścia do wnętrza budynku szkolnego.

* * * *

Budynek szkoły był stary, pochodził bowiem jeszcze z XIX wieku. Wybudowany bowiem został wtedy gdy nawet nie istniało jeszcze miasto Sosnowic, ale z dużymi jak to wszyscy emocjonalnie wtedy podkreślali tradycjami. Bowiem jeszcze pamiętał czasy zaborów Rosji carskiej. Byłej **rosyjskiej „Szkoły Aleksandrowskiej”**. W zasadzie bryła budowlana dawnej carskiej szkoły, w porównaniu do wznoszonych już masowo znacznie później za PRL tego typu obiektów, prezentowała się jednak wyjątkowo mizerniutko. Sprawiała bowiem wrażenie typowej dawnej jeszcze szkoły z dalekich Kresów Wschodnich, niż nowoczesnego gmachu oświaty publicznej. A decydowały głównie o tym takie elementy, jak brak: sali gimnastycznej, boiska szkolnego, czy nawet większego placu do zabaw oraz wyposażenie jego wewnątrz w nowoczesny sprzęt jaki był potrzebny do prowadzenia dydaktyki. Budynek szkolny, który nawet przetrwał do obecnych czasów był bowiem jednym z elementów wielkiego kiedyś jak waż boa ciągu dawnych zabudowań dietlowskiego fabrycznego osiedla mieszkaniowego, usytuowanego przy obecnej **ulicy 3 Maja** (do 1904 r. **Głównaja/Główna**, w 1915 **Hauptstrasse**, od 1918 – 1939 - **3 Maja**, od XI. 1939 – 1945 – **Hauptstrasse**, od 17.I. 1945 **3 Maja**, od 20.V. 1945 1953 **Stalinogrodzka**, od 30.X.1956 **Czerwonego Zagłębia**, od 28.II.1990 **3 Maja**). Osiedla prywatnego wzniesionego z kiesy rodzinnej państwa Dietel.

Elewacja budynku od strony pokrytej jeszcze wtedy ulicy kostką granitową, z wyjątkiem kolorowego tynku, to w zadzie przetrwała do czasów współczesnych i to prawie, że w niezmiennym wyglądzie. Nawet w porównaniu do czasów okupacji niemieckiej (od listopada 1939 do stycznia 1945 **ul. Hauptstrasse**). Chociaż autor tego artykułu jeszcze doskonale pamiętam jak na ścianie czołowej, gdy w tym budynku mieścił się Wojskowy Szpital Niemiecki, to w miejscu widocznej graffiti (patrz poniżej zdjęcie) był namalowany w formie realistycznej ogromny niemiecki czołgu (więcej na ten temat już niebawem przekażę w kolejnej publikacji.. Widoczne zmiany elewacyjne odnotowałem natomiast już od strony zachodniej, czyli od strony przebiegającej w pobliżu dawnego placu szkolnego Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej. Same jednak tereny przyszkolne podobnie jak i cała okolica wyglądają już obecnie jednak zupełnie, ale to zupełnie inaczej jak za moich jeszcze dziecięcych, a nawet i młodzieńczych lat. W zasadzie to już nic z tego terenu nie przetrwało do dzisiejszych dni. Z ogromnym więc wzruszeniem prezentuję zdjęcie jakie pozyskałem dzięki wyjątkowej życzliwości z Narodowego Archiwum Cyfrowego (NAC) w Warszawie. Na tym bowiem zdjęciu odnajduję nie tylko moje szczęśliwie dzieciństwo, ale i część mojego utraconego w starej jeszcze zabudowie Sosnowca. Proszę tylko wzrokowo porównać te dwa poniższe zdjęcia, by się samemu przekonać o tym co wyżej wspominam. Zdjęcie pierwsze w kolejności wykonałem bowiem dosłownie od strony uruchomionej w czerwcu **1927 roku „Podstacji transformatorowej”**, która podobnie jak serce zdrowego człowieka miała zasilać prądem elektrycznym, pod odpowiednim napięciem, dopiero co uruchomione sosnowieckie tramwaje. Z kolei drugie w kolejności zdjęcie, a pozyskane już z „NAC” prezentuje prawie dosłownie ten sam odcinek zabudowy. Uchwycony jest jednak tylko w kierunku przeciwnym, czyli dosłownie od stóp dawnej drewnianej bramy i furtki jakie jeszcze wtedy łączyły budynek szkolny z ozdobnym murem, który się wił w kierunku „Podstacji transformatorowej”. Więcej szczegółów przekazuję też jeszcze pod prezentowanymi zdjęciami, gdzie odsyłam chętnych Szanownych Czytelników, którzy pragną zagłębić się w przeszłość historyczną tej sosnowieckiej okolicy.



Zdjęcie wykonałem w kwietniu 2016 roku, dosłownie stojąc przy uruchamianej w czerwcu 1927 roku „Podstacji transformatorowej”....



Opis zdjęcia z „NAC” 1927 – 06. Sosnowiec ul. 3 Maja. sygnatur 1 –U – 5829.

Przyp. autora: -Tak jeszcze w latach 50. a nawet jeszcze w latach 60. XX wieku prezentował się ten odcinek zabudowy ulicznej. Zdjęcie wykonano dosłownie od stóp stojącego tu do dzisiaj budynku szkolnego. Po lewej stronie widoczny jeszcze, a odziedziczony w spadku po Rosji carskiej parkan z podkładów kolejowych, który się kiedyś ciągnął od samego Nowego Będzina, aż do centrum Sosnowca. Ten widoczny na zdjęciu odcinek zabórczego parkanu został zlikwidowany w 1927 roku już po wybudowaniu ozdobnego muru (za podkładami kolejowymi widoczny dopiero co wybudowany z kamienia wapiennego ozdobny mur). Po prawej stronie, pomiędzy słupem ogłoszeniowym a „Podstacją transformatorową” – dzisiaj już znacznie zdemolowaną – widoczne jest fragmencik dietlowskich „warzywniaków” (prawie 6.hektarów - terenów zachodnich dzisiejszego „Parku Sieleckiego” ciągnących się pomiędzy rzeką Czarną Przemszą a ulicą 3 Maja) i pod ostrym kątem biegnący zakręt ulicy w kierunku wiaduktu kolejowego (w kierunku ulicy Stefana Żeromskiego) i odnoga w kierunku Placu Tadeusza Kościuszki. Ten zakręt zwano po 1945 roku – „Zakrętem Śmierci”.

* * * *

Jak już wspominałem z zewnątrz szkoła raczej nie prezentowała się zbyt okazale. Bardziej natomiast jak na tamte odległe już czasy, były bardziej wykończone jej wnętrza. Jednak już po przekroczeniu progów budynku szkolnego wyczuwało się na korytarzach specyficzny zapach jaki dominuje w szpitalu. A wynikało to z tego, że w tym budynku podczas okupacji niemieckiej mieścił się niemiecki szpital wojskowy, który dopiero w styczniu 1945 roku został w pośpiechu opuszczony przez niemiecki personel pielęgniarski jak i przez personel lekarski oraz rannych też żołnierzy niemieckich. W zasadzie to ten apteczno - szpitalny, zimny i wyrafinowany zapach odczuwało się również i w tych pomieszczeniach, gdzie podłogi deskowe nie zostały jeszcze przez powojenne władze nasączone impregnująca ciemną pastą. Mimo więc upływu kilkudziesięciu lat od postawienia tego budynku szkolnego i kolejnej zmiany jego właściciela, to jednak zachowały się jeszcze dawne stosunkowo obszerne pomieszczenia klasowe. Szczególnie duże powierzchniowo sale znajdowały się wówczas na trzecim piętrze. A z kolei na pierwszym piętrze malutki gabinet kierownika szkoły i tylko dwie lub trzy sale lekcyjne. Z kolei na parterze, na wprost wejścia do budynku, mieściło się pomieszczenie dla woźnego, a obok po lewej stronie pokój nauczycielski i „gabinet” pielęgniarski. Natomiast po prawej stronie jeszcze pomieszczenia klasowe. Pomieszczenia strychowe zostały przyznane woźnemu panu S.M. (pełnego imienia i nazwiska już nie pamiętam) które je zajmował wraz ze swą rodziną. Nota bene, człowiekowi niezwykle życzliwemu i dobrodusznemu oraz wyjątkowo spokojnemu i opanowanemu, jak na wykonywany specyficzny kontaktowy zawód z uczniami.

Podłogi w pomieszczeniach klasowych wyposażono w deski, nasiąknięte jakąś mdlącą, ciemną impregnowaną pastą. Podobno darowaną z odzysku produkcyjnego. Korytarze i schody pokrywała natomiast posadzka kamienna – płytkowa, lub wylewka lastrykowa. Schody od parteru ozdabiała stylizowana, metalowo - prętowa i zarazem solidna poręcz, pokryta od góry drewnem. Już po kilku dniach nauki niektórzy więc uczniowie, ku rozpaczy nauczycieli, wykorzystują tę poręcz jako tor saneczkowy. Wypolerowana do połysku poręcz i wytarte solidnie kamienne schody, świadczyły jednak o tym, że na przestrzeni ubiegłych wielu lat lokatorami tego budynku, byli nie tylko mali uczniowie, ale też i osobnicy z ciężkimi butami, podkutymi do tego jeszcze ćwiekami. Większość izb klasowych wyposażona już była trzema tradycyjnymi rzędami ławek, które ponoć pozyskano z innych szkół. Podobno według ironiczných szeptów uczniów i sugestii niektórych nauczycieli, pozyskane ławki pochodziły jeszcze z czasów Rosji carskiej. Te dwuosobowe drewniane ławy, z malutką dla każdego ucznia wnęką na tornister i pośrodku dla dwóch uczniów z jedną tylko dziurą na kałamarz, niemiłosiernie były do tego jeszcze ciasne, szczególnie dla wyrosniętych okupacyjnych dziewczęcych i chłopięcych roczników. W późniejszych latach, do tej samej szkoły zawiatają więc podobne ławki, a możliwe, że nawet te same, ale wyposażone już dla uczniów w dwa niekonfliktowe otwory na kałamarz. Jak głosiła fama ponoć wykonane zostały w ramach postępu technicznego

przez „**lebskich przodowników pracy**”. W taki oto prosty sposób wreszcie rozstrzygnięto kłótnie i swary oraz oczywiście wieczne też nurtujące uczniów dylematy i związane z tym problemy - kto ma w końcu dokonać kolejnego zakupu atramentu ?..... Niestety ale po jakimś czasie pojawiły się ponownie nowe „problemy”, tym razem już uczniowskie, z utrapieniem dla nauczycieli. Niezabezpieczony bowiem atrament w kałamarzu, w ciasnych do tego niemiłosiernie dalej ławkach, był przyczyną nie do wybarwienia plam jakie się zaczęły pojawiać na uczniowskich ubrankach.

Mimo, iż w klasie siódmej już się śladowo pojawiły wieczne pióra i rarytasowe długopisy, to jednak w dalszym ciągu zagrożeni „**pałą**” uczniowie zobowiązani byli posługiwać się typową odwieczną „**obsadką**”, składającą się z wystylizowanej „**rączki**” i „**pióra**”, zwanego „**stalówką**”. Jednak w tamtych już latach przedmiotem chłpięcej zazdrości i cichych westchnień naszych koleżanek klasowych, były tak zwane „**wieczne pióra**”. Ale tylko te wyposażone już w złote ponoć wielokaratowe stalówki. Kiedyś przez lata stylizowane, piękne kaligraficzne pismo, niestety ale już wówczas nieuchronnie więc odchodziło do szkolnego lamusa. Każde pomieszczenie klasowe wyposażone zostało na wiodącej ścianie przynajmniej w jedną czarną i wielką nieruchomo zawieszoną tablicę. W jednym tylko pomieszczeniu klasowym, jak na owe pookupacyjne czasy, zawisła już „nowoczesna” dwuczęściowa tablica. To dwutablicowe cudo wmontowane zostało w wyprofilowane szerokie prowadnice i bez większego dziecięcego wysiłku, bezszelestnie przesuwano się po rolkach, raz w górę, raz w dół. Od razu więc te dwie ruchome tablice została entuzjastycznie zaakceptowane przez wszystkich uczniów, gdyż wykorzystywano je na przerwach międzylekcyjnych do chłpiących zabaw.

W rogu, najczęściej przy drzwiach wejściowych do klasy, zawsze stało pełne mętnej wody cynkowe wiadro, przez innych zwane też kuble. W tamtych powojennych latach nie była nam jeszcze znana gąbka, więc kredę z tablicy zmywało się tylko szmatą, maczaną uprzednio w stojącym obok tablicy wiadrze. Regularna zmiana wody w wiadrze i podlewanie kwiatków stojących na parapecie oraz wietrzenie pomieszczeń klasowych w czasie przerw międzylekcyjnych, należały wtedy do stałych obowiązków „**dyżurnego klasowego**”, wytypowanego codziennie przez pedagoga – wychowawcę klasowego. Ten dostojny zaszczyt bycia dyżurnym już niedługo stał się jednak dla nas utrapieniem i przysłowiową czkawką uczniowską, gdyż w wyniku przeciągów bardzo często spadały z parapetów doniczki z kwiatami, co było też częstym powodem „**sprawiedliwego dyscyplinowania**” dyżurnego. Już po pewnym czasie to wyróżnienie przyjmowaliśmy więc raczej jako karę, niż wyróżnienie. Obok tablicy, na czołowej ścianie zawisły też obowiązkowo dostojne portrety. W samym środku zwisło nasze godło narodowe, oczywiście pozbawione już jednak korony, a po bokach – jak to wtedy określano - zamiennie wieszano „**naszych ideowych komunistycznych przywódców**”: **Józefa Stalina, Bolesława Bieruta, Marszałka Konstantego Rokossowskiego, Marksa i Engelsa.**

* * * *

Kierownikiem szkoły został po 1945 roku pan C.B., jeszcze przedwojenny dyplomowany nauczyciel. Zresztą doskonale znany naszej licznej rodzinie nauczycielskiej jeszcze z czasów II Rzeczypospolitej Polskiej i okupacji niemieckiej. Osoba raczej niskiego wzrostu, ale „**z twardą, i sprawiedliwą ręką**”, jak to sam wielokrotnie podkreślał. Tak ponoć jak mawiał „**nauczyło go życie**”. Nauczyciel niezwykle wręcz przesadnie wymagający, niekiedy jednak też zbyt porywczy i jednocześnie niezwykle wybuchowy. Wykładowcami w tej szkole, a raczej nauczycielami i nauczycielkami były zarówno osoby doskonale przygotowane do tego specyficznego zawodu, jak również dotychczas zupełnie niezwiązane z zawodem pedagoga. Już na przestrzeni zaledwie kilku powojennych lat jakże wielu z nich okaże jednak różne oblicza. Okupacyjna przerwa w nauce spowodowała też wyjątkowo niekorzystne uwarunkowania wśród niektórych uczniów, a nawet i uczennic. W każdej bowiem klasie pomiędzy dziećmi występowały wyjątkowo pokaźne różnice wiekowe oraz znaczne też w związku z tym różnice wzrostu. Rozpiętość wiekowa sięgała więc nawet od 2. do 3., a nawet i 4. lat. W konsekwencji zaowocuje to wygórowaną rywalizacją o

dominację klasową, a nawet i szkolną, szczególnie wśród rozbrykanych chłopców. Przewaga fizyczna u starszaków nad młodszymi wiekiem uczniami, doprowadziła więc w pewnym okresie czasu do takiej z ich strony agresji, że niektórzy uczniowie demonstracyjnie zadzierali nawet z nauczycielami. To zjawisko jednak już zupełnie wymierało w miarę upływu lat, gdy starsze wojenne roczniki, już na zawsze opuszczały mury tej szkoły.



Zdjęcia z 1946, lub 1947 roku. Rada Pedagogiczna, zaproszeni rodzice i delegacja uczniowska ze Szkoły Powszechnej nr 9 im. Tadeusza Kościuszki w Sosnowcu. Siedzą po lewej stronie: pan W. Nowak (późniejszy do 1955 roku kierownik kadr i szkolenia w Wydziale Oświaty Prezydium MRN w Sosnowcu, a później kierownik Szkoły Podstawowej nr 10), pani Jakubowicz (imię?) nauczycielka matematyki i fizyki, pan Pająk (imię?). Siedzą po prawej stronie: 3 w kolejności – pani Engelking (imię ?), 5 w kolejności – pani Czych (imię?), 6 w kolejności - katecheta ks. Gebyartowski (imię?).



Zdjęcie z 1946 lub 1947 r. – siedzą od lewej: NN, NN, pani Engelking (imię?), NN, pani Aleksandra B. – w kapeluszu; małżonka kierownika szkoły, pan C. B. - kierownik szkoły, katecheta ks. Gebyartowski (imię ?). Stoją od lewej: pan Pająk (imię ?), NN, NN, Stefania Maszczyk – moja mama, NN, pani Czych (imię ?). Całkiem w tyle stoją od prawej: pan W. Nowak, NN, pani Jakubowicz (imię?) i uczniowie ze sztandarem szkolnym oraz zaproszeni na tę uroczystość rodzice.

* * * *

Po 1945 roku funkcjonował jeszcze w sosnowieckich szkołach tak zwany przymus bezpośredni. Dotyczył on jednak, tak jak wtedy to zjawisko powszechnie w szkolnictwie określano, wyłącznie tylko „krnąbrnych” uczniów, co oczywiście nie pokrywało się z prawdą obiektywną. Pamiętam bowiem i to wprost doskonale, jak jedna z ówczesnych nauczycielek, której dziewczynka była uczennicą tej samej klasy co autor, stosowała jednak przymus bezpośredni nie tylko w przypadkach pojedynczych wobec „krnąbrnych” uczniów, ale nawet zbiorowy. Karała bowiem biciem po dłoniach piórnikiem lub linijką wszystkich dosłownie uczniów, którzy się tylko spóźniali na lekcję z fizyki. Nie pomagały więc nawet wtedy uczniowskie tłumaczenia i prośby błagalne, że nie słyszeli dzwonka podczas przerwy międzylekcyjnej, gdyż bawili się w oddali od budynku szkolnego, na placu szkolnym, który był jak na przekór temu jeszcze do tego usytuowany poza wysokimi komórkami. Jak się jednak już niebawem okazało, to jednak każdy człowiek ma co najmniej dwa oblicza. Bowiem ta sama nauczycielka, niezwykle zresztą inteligentna w porównaniu do innych pedagogów z tej szkoły, gdy byłem już w klasie siódmej to okazała jednemu z moich kolegów nieprawdopodobny akt łaski. Po prostu nie oblała go z fizyki mimo, iż od początku roku szkolnego nigdy nie mógł pokonać bariery dostatecznej. Tylko chyba w drodze wyższych wartości ludzkich, by nie wikłać mu dalszego powojennego życia, na świadectwie szkolnym odnotowała stopień – dostateczny. Ten uczeń już w kilkanaście lat później ukończy bez problemów studia humanistyczny i będzie piastował w kraju wysokie funkcje w administracji państwowej, a Panią Nauczycielkę z tej szkoły będzie zawsze, aż do swej śmierci, wspominał jako niezwykle życzliwą i pełną ludzkiego serca kobietę.

Obecnie nie jestem już jednak w stanie ustalić jak długo te niegodne pedagoga praktyki jeszcze funkcjonowały w naszej szkole. Ponoć w późniejszych latach tej specyficznej formy karania uczniów już jednak nie stosowano. A nawet incydentalne przypadki zagrożone zostały rozprawą na kanwie pozwu sądowego. Oczywiście nie wszyscy pedagodzy byli tak agresywnie nastawieni wobec uczniów. Z tego co zapamiętałam to spośród całego grona nauczycielskiego zaledwie tylko kilkoro nauczycieli, wprost garsteczka, nigdy nie stosowała fizycznej przemocy wobec bezbronного ucznia. Wśród tych osób były dwie lub trzy nauczycielki i jeden tylko nauczyciel, pan Pająk (imię). Mama bardzo krótko przed śmiercią w 1996 roku, której wówczas nawet z bratem nie przewidywaliśmy, tak w chwilach nostalgicznych wspominała tamten miniony okres pedagogiczny:

- „Nigdy w życiu nie karałam ucznia w formie stosowania wobec niego przymusu bezpośredniego. Nigdy ! Nigdy też w życiu nie oblałam żadnego dziecka. Nigdy ! Po prostu absolutnie nigdy ! Natomiast jak mogłam to tylko pomagałam i wspierałam każdego. To było właśnie moje prawdziwe zwycięstwo. Zwycięstwo dobra nad złem. Przy takiej rozpiętości ocen nie musiałam jeszcze stresować, czy upadłać dzieci. Wystarczyła ocena dostateczna, a każdy już później odnalazł swą ścieżkę życiową i konkretny zawód. Ale powracając do tych nieszczęsnych kar cielesnych. Po tak okropnych i tragicznych dwóch wojnach światowych, które chyba tylko dzięki opatrności Boga przeżyłam.... to nie byłam w stanie uderzyć bezbronного malutkiego dzieciaka”.

Najczęstszą formą karcenia ucznia były nauczycielskie smagnięcia po uczniowskich dłoniach długą drewnianą linijką lub opróżnionym tuż przed zastosowanie cielesnej kary szerokim drewnianym piórnikiem. Podobno jak twierdzili to moi koledzy, szczególnie bolały ich dłonie, gdy w trakcie zastosowanych kar uczeń musiał jeszcze liczyć ilość wcześniej ustalonych przez pryncypała uderzeń. Jeden z nauczycieli, nota bene wyjątkowo nerwowy i wybuchowy, używał nawet do tego celu najczęściej swoich dłoni, uderzając bez zastanowienia i z rozmachem po uczniowskiej głowie, karku oraz barkach, nie stroniąc też od uderzeń w trakcie śpiewu smyczkiem do skrzypiec. A bywało tak wówczas nawet w trakcie śpiewu takiej religijnej pieśni jak **„Po górach dolinach”**, które chór szkolny wykonywał na pierwszym piętrze na rozległym w tym miejscu korytarzu. W trakcie smagnięć ucznia smyczkiem padały też jeszcze wtedy takie słowa jak: **„a masz”, „a masz”**.....i to w rytm wykonywanej tej religijnej pieśni. Oczywiście, że tego typu kary nie były bardzo bolesne, czy wyjątkowo dotkliwe, ale zapewne upokarzające godność małego człowieka. Szczególnie dlatego, iż wymierzano je przecież też w obecności naszych klasowych koleżanek. Przynajmniej autor tak te kary wówczas uczuciowo odbierał. Ten nauczyciel stosował też jeszcze taką karę, że zamykał ucznia na klucz, w swoim malutkim z jednym oknem pomieszczeniu. Ten proceder praktykował jednak tylko do pewnego czasu. Bowiem pewnego dnia, gdy już udał się do Wydziału Oświaty, to prawdopodobnie zupełnie zapomniał o tym, że w jego pomieszczeniu jest już od pewnego czasu uwięziony pod kluczem wyrośnięty delikwent. Ten z kolei uczeń zapewne z tego pomieszczenia by już dawno uciekł poprzez okno. Ale jak nam później opowiadał bał się ponoć wysokości. Bowiem przetrzymywany był wtedy na pierwszym piętrze tego budynku. Podobno w końcu jednak podjął próbę desperackiej ucieczki. Próbował bowiem opuścić się po rynnie, ale ona jak na złość była wtedy uszkodzona. Kończyła się bowiem poniżej pierwszego piętra. Ukaranym uczniem, był późniejszy gdy już podrośł i zmężniał, znany nam w Sosnowcu podrywacz dziewcząt i stały też bywalec kawiarni „Rex”. Mieszkaniec ditłowskiego osiedla mieszkaniowego przy ulicy Parkowej. Nie mogąc doczekać się pryncypała, bez pardonu skorzystał więc wtedy jak z miejskiego pisuaru, oddając po prostu mocz do górnej szuflady, do stojącego w tym pomieszczeniu biurka. Nie przewidział ten biedak tylko jednego. A mianowicie tego, że mocz przeleje się, aż do dolnych szuflad i poplamie kolorami przechowywane tam dokumenty szkolne. Można sobie tylko wyobrazić, co się wówczas działo w szkole kiedy to uczniowskie „przestępstwo” zostało już wykryte. O uczniu, moim koledze szkolnym, co wtedy przeżył, to nawet już nie wspominam. Natomiast wśród nauczycieli śmiechu i żartów było co niemiara. Śmiali się więc i pokpiwali nawet ci spośród personelu pedagogicznego, którzy byli nawet zaprzyjaźnieni z tym nauczycielem. Oczywiście dokonywano tego tak dyskretnie, by tylko czasem osoba wykiwana o tym się nie dowiedziała. Te wymierzone kary jak już wyżej wspominałem nie były nawet aż tak bolesne jak o nich opowiadali niektórzy moi koledzy. Ale autor tych kar cielesnych ogromnie panicznie się wtedy bał i wstydził, i zakodował je tak specyficznie w swojej pamięci, że przetrwały do dzisiaj i tkwią bardzo głęboko, i zapewne przetrwają aż do mojej śmierci.



Zdjęcie z roku 1947. Klasa VI a. W ostatnim rzędzie od lewej stoją: jako 4 – autor – **Janusz Maszczyk**. Nauczycielką i moją wychowawczynią była wówczas niezwykle kulturalna, sympatyczna i życzliwa oraz pełna też serca pani Engelking. Imienia tej Pani niestety, ale już jednak nie pamiętam. Zdecydowana większość widocznych na zdjęciu dzieci, już obecnie jednak nie żyje. A z innymi po prostu jak to w życiu najczęściej bywa, to utraciłem z nimi już od wielu, wielu lat jakkolwiek kontakt osobisty. Dopiero teraz na tym zdjęciu widzę jaki byłem wówczas malutkim, pod względem wzrostu uczniem. Już jednak za kilka ładnych lat, będę zaliczany do malutkiej grupki najwyższych młodzieńców z terenu całego Sosnowca.

* * * *

W tamtych latach uczeń w szkole publicznej powszechnej by uzyskać świadectwo do tak zwanej szkoły średniej, to zobowiązany był zaliczyć siedem lat nauki. Pamiętam pierwsze lata nauki jako okres niedożywienia i potwornego też stresu pookupacyjnego. Głód i bieda była jeszcze wówczas tak powszechna, że wielu moich kolegów szkolnych niedojadało. Więc niejednokrotnie dożywiała ich w naszym mieszkaniu też moja mama. Oczywiście nie była to duża liczba dzieci, tylko zamiennie po kilkoro uczniów. W szkole natomiast dokarmiano nas regularnie tranem. Szczególnie po wizycie **Misji Szwedzkiej**, kiedy to nagle ponoć wykryto ku osłupieniu dostojnych zagranicznych gości wychudłe ciała chłopców, zapadłe klatki piersiowe i niemiłosiernie sterczące żebra. Od tego czasu każdy uczeń i uczennica w ciągu każdego dnia otrzymywał jedną łyżkę stołową tranu. Oporni kruszeli po uprzednim przełknięciu malutkiej landrynki. W zasadzie ten malutki cukierek był najstosowniejszym antidotum na dziecięce opory. Ubiór uczniowski w zasadzie był prosty, bardziej dostojny w dni zapowiadanych sesji zdjęciowych oraz gdy odbywały się uroczystości kościelne i typowo szkolne, podobnie jak w trakcie rocznicowych pochodów: 1 Maja i 3 Maja. Z tym, że rocznicowe pochody 3 Maja obchodzono już tylko do 1949 lub 1950 roku.

* * * *

To były jeszcze takie lata pełne biedy i wiecznego braku w sklepach prawie wszystkiego, że niektórzy uczniowie w okresie gdy pozwalały na to już warunki klimatyczne to przychodzili do szkoły nawet boso. Szczególnie ci z malutkich zagubionych uliczek pogońskich, z **Wodnej**, **Raławickiej** i **Floriańskiej**. Jakże im wówczas tego zazdrościłem, gdyż mama nie wyrażała absolutnie zgody, bym w takim stroju prezentował się w szkole. Ponoć to nie wypadło, „*szczególnie dziecku nauczycielki, które powinno być wzorem dla innych*”. Niektórym z nas bardzo imponował przedwojenny jeszcze strój w postaci polskiego mundurku harcerek. Nie ukrywam ale również mnie i mojemu bratu – Wiesławowi, co ochoczo popierała to też moja mama i dotąd w tych sprawach raczej milczący też ojciec. Twierdzili, że „*Polakiem nie powinno się być tylko na papierze*”. Więc nosiłem go nie tylko w trakcie zbiórek harcerek, ale nawet w dni powszednie. Nie wiem co było powodem, ale pewnego dnia wydano polecenie, by dosłownie wszyscy uczniowie, oprócz dziewcząt, przyszedli do szkoły „*ogoleni na pałę*”. Tak wówczas potocznie to upokarzające strzyżenie uczniowskich głów określano. Uczniowie, którzy zjawili się w szkole nawet z malutką, jak to mawiano grzywką zwisającą nad czołem, nie byli więc wpuszczani do budynku szkolnego, aż nie ostrzygli włosów na zero. Takie specjalne akcje w latach 40. XX wieku o ile pamiętam to przeprowadzono co najmniej dwukrotnie. Przez pewien więc okres czasu wyglądaliśmy więc jak rekruci, którzy odbywają „*zaszczytną służbę*” w LWP. Temu idiotycznemu bądź co bądź zaleceniu, sprzeciwił się wówczas tylko jeden jedyny uczeń z tej placówki dydaktycznej. A był nim mój przyjaciel podwórkowy **Tadziu Będkowski** (już od kilku lat nie żyje). Niezwykle spokojny, kulturalny i inteligentny przyjaciel, z wieloletniej ośmioosobowej niezwykle zacnej rodziny. Już wiele lat później dowiedziałem się, że

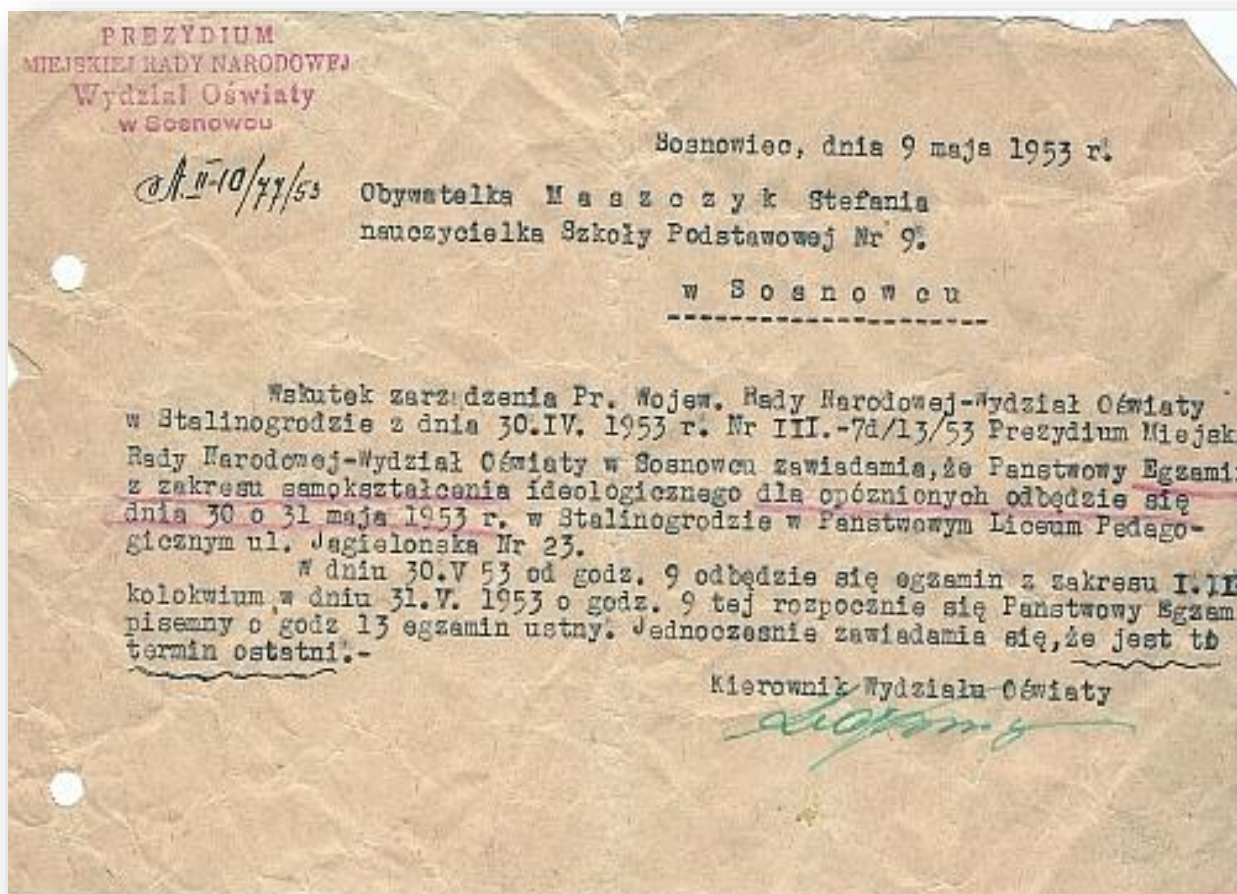
jego mama była rodowitą Ślązaczką, a ojciec od wielu pokoleń Sosnowiczanie i ceniony pracownik pobliskiej z ulicy Nowopogońskiej „Rurkowni Huldczyńskiego”. Jego rodzina początkowo zamieszkała w fabrycznym robotniczym osiedlu, w tak zwanych „Białych Domach”. Z tego osiedla robotniczego do dzisiaj już tylko zachowały się dwa 3 kondygnacyjne budynki. Identyczne zresztą jak przy Placu Tadeusza Kościuszki. Po 1945 roku z kolei otrzymali już przydział mieszkaniowy w dawnym budynku kierowniczo – dyrektorskim przy Placu Tadeusza Kościuszki. W konsekwencji kategorycznej odmowy przez wiele, wiele więc lat – Tadiusz - nie ukończył nawet szkoły podstawowej. A był to ponoć okres, gdy uczęszczanie do szkoły miało ponoć **status obowiązkowy**. Jak więc ten incydent porównać z obowiązującymi wtedy państwowymi przepisami ?

* * * *

W szkole pewnego dnia doszło też do kolejnego incydentu. W skutkach bardziej jednak radykalnego i trudnego do wytłumaczenia. Jeden bowiem z moich młodszych wiekiem podwórkowych przyjaciół z Placu Tadeusza Kościuszki, a był nim Zdzisław Kurek, znalazł bowiem całkiem przypadkowo na nasypie, przy torach kolejowych, dawnej Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej, które widać się obok placu szkolnego, część zdemontowanego karabinu. Bez kolby i zamka. Prawdopodobnie ten nieużyteczny już przedmiot ktoś wyrzucił z pędzącego pociągu. Przynajmniej taką wersję prezentował autorowi Zdzisław. Później w ramach zabawy wraz z innymi kolegami klasowymi „przechowywał” ten nieużyteczny karabin w nurtach ścieku dietlowskiego (teren osadnikowy przez jednych określany jako „Kawka”, przez innych „Kafka”). Przepraszam w tym przypadku za wyjątkowe skróty myślowe. W kilka, czy kilkanaście dni później, już z samego rana, Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (UBP) dokonał aresztowań. Przesłuchiowano kilkunastu uczniów, głównie z klas szóstych. Wszystkich maluchów z uliczek leżących wokół wiodącej uliczki Nowopogońskiej już po przesłuchaniu jednak wypuszczono, tylko zatrzymano Zdzisława z Placu Tadeusza Kościuszki. Był ponoć – jak to później mi opowiadał - przetrzymywany i przesłuchiwany przez okres kilku miesięcy. Ten incydent był o tyle kuriozalny, gdyż wszyscy w szkole nagle „**nabrali wody w usta**”. Po prostu milczeli. Zarówno kierownictwo szkoły jak i nauczycielka wychowawczyni klasowa oraz również rodzice Zdzisława. O tym zdarzeniu nie wiedziała więc nawet wtedy moja mama – nauczycielka z tej samej szkoły. Ja już wtedy byłem licealistą w „Staszicu” więc nie utrzymywałem wówczas każdego dnia kontaktu ze Zdzisławem, tak jak to bywało już znacznie później. O tej tajemniczej sprawie dowiedziałem się więc przypadkowo, dopiero wtedy jak Zdzisław został już wypuszczony na wolność z sosnowieckiego aresztu z Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UBP). Kiedy więc przekazywał mi te informacje dopiero kilka lat później, to początkowo tym szeptanym przekazom absolutnie nie dowierzałem, gdyż były one tak kuriozalnie nieprawdopodobne, że trudno w nie było uwierzyć. Kilka lat temu, bowiem w 2008 roku, spotkałem w sosnowieckim domu handlowym „Carrefour” na Katarzynie mojego podwórkowego jeszcze znajomego z dziecięcych i młodzieńczych jeszcze lat. A był nim J. S. Zresztą też uczeń mojej mamy ze Szkoły Publicznej nr 9. Późniejszy za czasów PRL kapitan Milicji Obywatelskiej (MO), który też tego nieprawdopodobnego incydentu nie był mi absolutnie w stanie logicznie ocenić. To od niego właśnie dopiero wtedy się dowiedziałem, że ojciec Zdzisława był wtedy liczącym się członkiem PZPR w POP w Hucie „Sosnowiec”. Zdzisław był bowiem jego też ponoć przyjacielem w tamtych dziecięcych i młodzieńczych jeszcze latach. Kiedy go na ten temat dalej nagabywałem to odpowiedział: - „*Cóż mam tobie powiedzieć ?.... To były wtedy takie zwariowane czasy, że jednostka się nie liczyła. A odważni - jak to Janusz teraz mówisz – w najkorzystniejszym przypadku kończyli wyobcowaniem społecznym, przydziałem jednej izby w starym blokowisku i żebraczą na starość emeryturką*”.....

* * * *

Szkoła pozbawiona była całkowicie jakichkolwiek przyborów i pomocy naukowych, jak również specjalistycznych pomieszczeń dydaktycznych. Brakowało niemiłosiernie też lektur szkolnych i podręczników, szczególnie do przedmiotów humanistycznych. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy co było tego przyczyną. A sprawa była niezmiernie prosta. Po prostu już w pośpiechu opracowywano nowe humanistyczne, a nawet przyrodnicze podręczniki, zgodne z „**nowym duchem czasu**”. Ogromnym problemem i zapewne też zmartwieniem i utrapieniem dla sosnowieckiego Wydziału Oświaty, był jednak fakt, jak to wykazały kolejne stałe do szkół inspekcje, że niektórzy pedagodzy, szczególnie ci jeszcze z cenzurem przedwojennego dyplomowanego nauczyciela, zamiast iść z „**socjalistycznym duchem czasu**”, dalej jak za dawnych jeszcze lat zatruwają głowy uczniom starą archaiczną i sanacyjną metodyką. Już wkrótce i ten problem będzie rozwiązany i to nawet bez większych oporów ze strony tych ponoć dotąd krnąbrnych i zatwardziałych nauczycieli, jak to w pewnych kręgach politycznych ich wówczas określano. W 1952 roku wszyscy sosnowieccy nauczyciele jak jeden przysłowiowy mąż przystąpią bowiem w Katowicach i to z ochotą do szkolenia ideologicznego o komunistycznym podłożu. I oczywiście wszyscy go też pozytywnie i w terminie zaliczą, a później też bezproblemowo zdadzą w Katowicach egzamin końcowy. Z wyjątkiem podobno tylko jednej, jedynej z Sosnowca nauczycielki, która mimo nalegań ani do zorganizowanego kursu, ani też do końcowego komunistycznego ideologicznego egzaminu jednak nie przystąpiła. Tą nauczycielką jak z ambony Wydziału Oświaty wtedy oświadczone była nią moja mama – Stefania Maszczyk. Niektóre dokumenty ponaglące ukończenie tego kursu ideologicznego z zastosowaniem stosownej wobec niej kary z tytułu jego nieukończenia prezentuję poniżej:



Sosnowiec, dnia 11 czerwca 1953 r.

**PREZYDIUM
MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ
Wydział Oświaty**

Prezydium
Miejskiej Rady Narodowej
Wydział Oświaty
w Sosnowcu
Nr. - 5/6/53

Ob. Maszczyk Stefania
Szkoła Podstawowa Nr. 9
w Sosnowcu

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Wydział Oświaty wzywa
Obywatelkę do natychmiastowego stawienia się w tutejszym Wydziale
u Kierownika Kadry Szkolenia Ob. W. Nowaka.

Kierownik Wydziału Oświaty
[Signature]
Dajczer Bolesław

Stalinogród, dnia 12 sierpnia 1953 r.

**PREZYDIUM
Wojewódzkiej Rady Narodowej
w Stalinogrodzie
WYDZIAŁ OŚWIATY**

Nr II - Ma 870/1/53-R/Buj.

Obywatelka **M a s z c z y k Stefania,**
nauczycielka Szkoły Podstawowej Nr 9
w Sosnowcu.

Na podstawie art. 51 ustawy z dnia 1 lipca 1926 r. o stosunkach służbowych nauczycieli /Dz.U.R.P.Nr 104 poz. 873 z 1932 r./ wraz z późniejszymi zmianami Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej - Wydział Oświaty w Stalinogrodzie przenosi Obywatelkę z dniem 1 września 1953 r. z urzędu ze względów organizacyjnych na stanowisko nauczycielki do Szkoły Podstawowej Nr 16 w Sosnowcu.-


Po zwolnieniu od dotychczasowych obowiązków służbowych powinna Obywatelka zgłosić się u ob. Kierownika Wydziału Oświaty - Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Sosnowcu, celem objęcia nowych obowiązków służbowych.-

Na podstawie art. 87 ust.4 rozporządzenia o postępowaniu administracyjnym /Dz.U.R.P.Nr 36 poz. 341 z 1928 r./ Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej - Wydział Oświaty postanawia, iż decyzja niniejsza ulega natychmiastowemu wykonaniu.-

Przeciwko niniejszemu zarządzeniu przysługuje Obywatelce prawo odwołania do Ministerstwa Oświaty w ciągu dni 14, licząc od dnia następnego po dniu doręczenia niniejszego pisma.-

Data objęcia służby na nowym miejscu służbowym: _____

Za Kierownika Wydziału:
[Signature]
Kierownik Biura Spraw Osobow.



Sosnowiec, dnia 14 sierpnia 1953 r

Nr II-10/49/53

Obywatelka

Stefania M a s z c z y k naucz. Szk. Podstaw. Nr 9
w S o s n o w c u

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej - Wydział Oświaty w Sosnowcu
zwalnia Obywatelka z dniem 31 sierpnia 1953 r. ze stanowiska nauczy-
cielki w Szkole Ogólnokształcącej stopnia Podstawowego Nr 9. w Sosnow-
cu -skutek przeniesienie Jej zarządzeniem Pr. W. R. N. wydział Oświaty
w Stalinogrodzie z dnia 12. VIII 1953 Nr II-Ma 870/1/53-R/Baj. do Szko-
ły Ogólnokształcącej stop. Podstawowego Nr 16 w Sosnowcu.-

Zechce zatem Obywatelka zgłosić się w dniu 1 września u Ob.
Kierownika Szkoły Nr 16 w celu objęcia nowych obowiązków służbowych.

Kierownik Wydziału Oświaty

Dajczer Bolesław

Później publicznie, tym razem już jednak podczas obchodzonych hucznie uroczystości **w Dniu Nauczyciela** w sosnowieckim Domu Kultury „Górnik” przy ulicy Żytniej, będzie jeszcze z trybuny za to łajana oraz wypomną jej też odmowę „**dobrowolnego**” nauczania dzieci w godzinach przedpołudniowych w niedziele i święta kościelne (autor posiada jeszcze w swym domowym archiwum stosowne dokumenty szkolne ponagląjące, a później nawet dotkliwie karzące moją mamę). Dzisiaj zapewne już wszystkim jest wiadome dlaczego zaoferowano uczniom taką formę przedpołudniowych i „**dobrowolnych niedzielnych korepetycji**” oraz dlaczego nauczyciele te darmo sesje bez żadnych protestów zaliczali ?..... Karą za te „przewinienia” będzie przymusowe wyrzucenie mojej mamy ze Szkoły Publicznej im. Tadeusza Kościuszki nr 9 z jednoczesnym też karnym przeniesienie do Szkoły Publicznej nr 16 na Środulę. Do budynku, gdzie nie tak jeszcze dawno temu miało swą siedzibę Gestapo i esesmani pilnujący uwięzionych Żydów w getcie na Środuli. A po szeregu innych jeszcze zastosowanych dodatkowych szykanach i inwigilacjach dokonywanych przez pewnych smutnych panów, ostateczne w 1963 roku w wieku **zaledwie 56. lat** zostanie „**dobrowolnie**” na zawsze usunięta ze szkolnictwa. Aby tego można było jednak dokonać w majestacie istniejącego wtedy prawa, to zaliczono jej wtedy **podwójnie okres konspiracyjnego nauczania polskich dzieci** z czasów okupacji niemieckiej i na dodatek przyznają jeszcze jej żebraczą emeryturę nauczycielską. Przepraszam w tym przypadku za operowanie wyjątkowymi skrótami myślowymi i nie do końca nawet rozwiniętym tematem. Znacznie więcej na ten temat w moim artykule:- **TAJNE KONSPIRACYJNE NAUCZANIE.**

* * * *

Oczywiście, że po 1945 roku pojawiły się już mapy, ale z wytyczoną nową jałtańską granicą państwową, a ponemieckie kije bilardowe prawdopodobnie odziedziczone po pacjentach z wojskowego szpitala niemieckiego, „niczym symbole IV Rozbioru Polski”, służy nauczycielom i uczniom jako wskazówki mapowe. Jedynym w tym okresie kółkiem zainteresowań był chór szkolny.

Próby chóru i szlifowanie piosenek, jak już wyżej wspominałem to odbywało się zawsze na korytarzu pierwszego piętra. Do 1949 roku wyjątkowo popularne były przeważnie tylko pieśni religijne i stare jeszcze polskie biwakowe patriotyczne i ludowe piosenki harcerskie. Ale tylko do pewnego czasu. Później ci sami nauczyciele co z taką ochotą brali nawet w tych pobożnych jasełkowych i patriotycznych imprezach udział w szkole i w domu Kultury „Metalowiec”, przy sosnowieckiej ulicy Mariackiej, nagle zmieniają swe dotychczasowe oblicza i zagrają w tej samej komunistycznej orkiestrze, na zafalszowanych jednak już nutach. W tych chwilach narodowej i patriotycznej próby nagle okaże się, że niektórzy komuniści mają nie tylko ludzką twarz, ale nawet sumienie i serce, a z kolei niektórzy od konfesjonau i ponoć dawni patrioci, dziwnie będą w tym chórze koniunkturalnie fałszowali. Inni, zdecydowana większość, jak zwykle zawsze pójdą za silniejszym. Tam gdzie stanowiska, forsa i apanaże. No cóż takie to były jeszcze wtedy czasy i warto o tym też dzisiaj pamiętać, by przez zapalczywość nie wrzucać dosłownie wszystkich na siłę do tego samego zaprzańskiego worka i nie tworzyć o jednym tylko obliczu polskiej powojennej historii. Bo idee pozbawione wyższych wartości ludzkich, nawet te wzniosłe, gdzie zwykły człowiek jest tylko ich tłem a nie podmiotem, są z żywotnego punktu widzenia bezwartościowe.

* * * *

Szkolna organizacja harcerska, 70. Drużyna ZHP, oparta jeszcze na wzorcach z okresu II Rzeczypospolitej Polski przetrwa jednak zaledwie tylko do końcowych miesięcy 1949, lub pierwszych miesięcy 1950 roku. Autor w przeciwieństwie do brata, jako niezaprzyśiężony harcerz z uwagi na niski wiek, w tej drużynie harcerskiej był tylko jej dumnym honorowym członkiem. Czapki harcerskie jeszcze w tym czasie były tradycyjne: rogatywka z lilijką harcerską, na której były wygrawerowane literki ONC (Ojczyzna, Nauka, Cnota) i ZHP (Związek Harcerstwa Polskiego). Naszej 70. Drużynie Harcerskiej przysługiwała chusta harcerska w kolorze czerwonym, ze srebrnymi na pagonach aluminiowymi literkami 70. i pleciony sznur harcerski, na którego końcu był gwizdek. Ale tak wykwintnie to prezentowaliśmy się tylko w dni szczególnie uroczyste i w trakcie zbiórek harcerskich. Do pewnego jednak czasu ! Kiedy to harcerstwo oparte na wzorach przedwojennych **nie zostało w końcu też zlikwidowane.**

Nie znam obiektywnej przyczyny, ale nigdy nie natknąłem się w literaturze powojennej, ani współczesnej na wspomnienia jak ostatecznie zakończył działalność i został rozwiązany pod koniec 1949, lub w 1950 roku sosnowiecki harcerski hufiec. Ponieważ temat jest obszerny więc teraz go tylko zasygnalizuję. Otóż ! Sosnowiecki hufiec w dniu 3 Maja, w niedzielę, po odbytej uroczystej Mszy Świętej w kościele pw. Wniebowzięcia NMP przy ulicy Kościelnej (obecnie Bazylika Katedralna Wniebowzięcia NMP) udał się w ostatnią pożegnalną drogę ulicami naszego Sosnowca. W pełnym umundurowaniu i wyposażeniu maszerowało wówczas co najmniej kilkuset harcerzy. Uroczyście i z namaszczeniem niesiono chorągwie harcerskie i państwowe, bito rytmicznie w werble, grano na trąbkach - fanfarach, na plecach zawieszono plecaki ze zrolowanymi kocami, itd. Wszyscy w kolumnach marszowych w pełnym harcerskim rynsztunku i ze śpiewem na ustach, drużyna, za drużyną, maszerowali w kierunku ul. Stefana Żeromskiego. Tam pod wiaduktem Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej, nagle harcerze zostali zaatakowani przez nieznaną osobników odzianych po cywilnemu. Bici przez niektórych kijami rozproszyli się więc w popłochu. Każdy uciekał na łeb i na szyję, gdzie tylko popadło. A wówczas ulice Stefana Żeromskiego i obecna 3 Maja były po dwóch stronach kompletnie zabudowane i nie można było tak jak to jest dzisiaj pokonywać ich na skrót. Jedni więc uciekali w kierunku ulicy Orlej, a inni w stronę centrum Sosnowca i Placu Tadeusza Kościuszki. Byli też tacy co próbowali się ukryć w ogrodzonym jeszcze wtedy pobliskim „Parku Dietla”. Mój rodzony brat Wiesław, zastępca drużynowego z 32 Drużyny Harcerskiej z Wawelu był jednym z tych właśnie rozproszonych harcerzy. On w przeciwieństwie do wielu innych, znalazł się

na tyle w szczęśliwej sytuacji, gdyż jego drużyna harcerska jeszcze nie pokonała tego wiaduktu kolejowego. Wybrał więc kierunek ucieczki – prosto w stronę gdzie mieszkaliśmy przy Placu Tadeusza Kościuszki. Po rozproszeniu harcerzy niektórych z nich podobno aresztowano. Takie przynajmniej niepoparte konkretnymi dowodami fakty krążyły wtedy wśród wielu sosnowieckich harcerzy.

* * * *

W szkole jak to już wspominałem funkcjonowała też katecheza rzymsko – katolicka. Tylko jeden z uczniów, z całej mojej klasy, będąc wyznania ewangelicko – augsburskiego uczestniczył w niej wyłącznie tylko na zasadach honorowych. W trakcie modlitwy stał więc zawsze jak struna wyprostowany i poważny, a w trakcie lekcji siedział dostojnie i z powagą w swojej ławce – obok ucznia wyznania rzymsko – katolickiego. Nasz katecheta znany był też w Sosnowcu z precudownej skali głosowej. Ponoć kiedyś nawet śpiewał na deskach „**Teatro alla Scala**” – najslynniejszej scenie operowej w Mediolanie i we Włoszech, i jednej z najslynniejszych też na świecie. Był wielkim przyjacielem mojej mamy. Był też w tamtych latach znanym w Sosnowcu duszpasterzem w miejscowym Kościółku Kolejowym. W 2013 roku, gdy więc telefonowałem do Kościółka Kolejowego to starałem się pozyskać jego imię w miejscu, gdzie przez wiele lat był wikarym, to ku mojemu zdumieniu i zaskoczeniu napotkałem na ogromne trudności, gdyż ponoć „*trudno pamiętać wszystkich poprzedników z tego kościółka*”, a szczególnie „*tak odległe już roczniki*”. Życzliwie odsyłano mnie więc wtedy do Kurii w Częstochowie. Gdy jednak nalegałem i tłumaczyłem bezsensowność tej propozycji, to już do reszty chyba podenerwowany adwersarz kościelny, wyrażenie już nie chciał dalej kontynuować tego jak się okazuje „drażliwego” tematu. Ksiądz Gebyartowski, bo o nim to właśnie wspominałem, do pewnego czasu był traktowany przez kierownictwo szkoły i pedagogów oraz sosnowiecki Wydział Oświaty z wyszukaną elegancją i wyjątkową wprost kurtuazją. Do pewnego tylko czasu. Bowiem całkowita likwidacja katechezy szkolnej nastąpiła w latach 50. XX w. Dzisiaj jak się okazuje ten kiedyś uzdolniony śpiewak z opery „**Teatro alla Scala**” popadł w zapomnienie. Bowiem kto za życia nie wspina się po drabinie swego powołania, to nawet już za kilkanaście lat zapomną o nim nawet ci, którzy co jak co, ale raczej powinni o nim jednak pamiętać.



Zdjęcie z roku 1947, lub 1948. Zdjęcie pamiątkowe z Pierwszej Komunii Świętej; wśród dorosłych ks. katecheta Gebyartowski i po prawej stronie moja mama – Stefania Maszczyk. Poproszona na tę uroczystość przez księdza Gebyartowskiego jako nauczycielka i jeszcze była też katechetka z okresu II Rzeczypospolitej Polskiej.

* * * *

Jak już wyżej zasygnalizowałem, szkoła nie dysponowała ani salą gimnastyczną, ani też boiskiem sportowym, podobnie jak profesjonalną kadrą nauczycielską z wychowania fizycznego. Zajęcia najczęściej prowadzili więc tylko pedagodzy zaprzyjaźnieni z kierownikiem szkoły, aby dodatkowymi nadgodzinami chociaż trochę jeszcze dorobić do swej lichej pensji nauczycielskiej. Lekcje z wychowania fizycznego o ile się odbywały na terenie placu szkolnego to miały tylko charakter wybitnie zabawowy. O poziomie tych lekcji może świadczyć fakt, że ani uczennice, ani też uczniowie nie posiadali w ogóle stroju sportowego. Nawet wielu z nas wówczas nie miało pojęcia, że taki strój powinien na tego typu lekcjach być obowiązkowy. Również nauczycielka prowadząca tę lekcję ubrana była tak jak przyszła do szkoły. Niektóre panie prowadziły więc nawet zajęcia na wysokich obcasach. Przypominam sobie, że na prowizorycznym boisku do siatkówki, na jednej połowie usadowiano połowę uczniów i uczennic, a na drugiej pozostałych z całej klasy. I taka „rywalizacja” trwała przez całe 45. minut. To nie była jednak gra, ani też rywalizacja sportowa, to była parodia lekcji z wychowania fizycznego. W zasadzie więc zawsze wygrywała ta drużyna, która serwowała (dzisiejsza zagrywka). Ale najczęściej to zajęcia z wychowania fizycznego odbywały się w klasie, gdzie nauczycielka czytała uczniom lekturę szkolną. Zdarzały się jednak takie przypadki i to dość często, że starsza już wiekiem kobieta i prawdopodobnie też przemęczona życiem, a może i nie tak przecież jeszcze odległą okupacją niemiecką, siedząc okraciem na ławce uczniowskiej z nogami opuszczonymi na siedzeniu ławki, nagle w trakcie czytania zasypiała. Dopiero śmiech i głośne uwagi uczniów budziły ją z chwilowego letargu. Okres nauki w szkole z wychowania fizycznego uważam więc za całkowicie stracony. W przeciwieństwie do innych przedmiotów, które prowadzono dostatecznie, dobrze, a nawet przez niektórych nauczycieli bardzo dobrze. Przypominam sobie, że zajęcia praktyczne z obróbki w drewnie były postawione na wprost doskonałym poziomie. Z tym, że odbywały się tylko, dla klas siódmych, poza szkołą. A mianowicie. W starej i przepięknej pod względem architektury budowli na Wawelu, w jej piwnicznych, ale jasnych i eleganckich pomieszczeniach. Obecnie jest to Szkoła Podstawowa nr 6 im. Juliusza Słowackiego.

* * * *

Za pierwszy okres nauki, czyli od 1 lutego do 30 czerwca 1945 roku, jak to wynika z posiadanego dokumentu, nie wręczono jednak uczniom świadectwa szkolnego, tylko zaświadczenie szkolne. Ten dokument dla badaczy dziejów przeszłości szkolnictwa sosnowieckiego nie został jednak opracowany precyzyjnie. Szczególnie dla osób, które tamtych lat nie doświadczyły same, tylko polegają na tak zwanych źródłach dokumentalnych. W przypadku autora odnotowano bowiem, że uczęszczał już do tej samej szkoły podczas jeszcze okupacji niemieckiej, czyli w roku 1944. Co jest oczywistą nieprawdą ! Autor w 1944 roku i to jeszcze nie przez cały rok, ale tylko do października, brał udział w tajnych konspiracyjnych kompletach. Nie odnotowanie tego

jednoznacznie, podobnie jak niedopracowanie też innych dokumentów szkolnych jakimi dysponuje autor jeszcze w swoim archiwum domowym, może więc w przyszłości zaważyć na błędnej interpretacji przeszłości samego przebiegu szkolnego procesu nauczania.



Zdjęcie dokumentu. Nieprecyzyjnie opracowane zaświadczenie. Wystarczyło tylko w rubryce „rok szkolny 1944/45” umieścić znak odnośnika, który by precyzyjnie i zgodnie z prawdą obiektywną określił faktyczny rok nauki szkolnej i okres konspiracyjnego tajnego nauczania.

Za następny rok nauki szkolnej 1945/1946 każdy uczeń otrzymywał już dwa świadectwa szkolne. Za pierwsze półrocze, które obejmowało okres nauki od 1 września 1945 roku do 30 stycznia 1946 roku i drugi świadectwo, tak zwane końcowe, dokumentujące ukończenie klasy trzeciej i uzyskanie, lub nieuzyskanie promocji do klasy czwartej. Te dokumenty o tyle powinny zainteresować badaczy dziejów sosnowieckiego szkolnictwa, gdyż zawierają dwa ciekawe sformułowania. Okazuje się, że opisywana szkoła była wtedy jeszcze zaliczana do placówek oświatowych publicznych „stopnia trzeciego”, a miasto z kolei uroczyście jeszcze określano jako – „Sosnowiec Grodzki” (przyp. autora: oryginalne wpisy na świadectwach). Identyczne świadectwa wystawiono też za lata 1946/1947. Dalszych świadectw dokumentujących za lata nauki w tej szkole niestety, ale autor już nie posiada w swoim archiwum domowym.



Rok 1948, lub 1949. Moja mama, Stefania Maszczyk jako wychowawczyni klasowa. Zdjęcie wykonano na placu szkolnym obok pracowniczych ogródków działkowych, u podnóża nasypu Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej....Na prezentowanym zdjęciu zostało utrwalonych kilkoro co najmniej uczennic i uczniów, którzy był mi wówczas doskonale znani.



Mama należała do Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP) już od 1930 roku. Nie potrafię więc wytłumaczyć tego kolejnego już błędnego wpisu: „Data wstąpienia do obecnego Związku – 1945. Całkiem możliwe, że ZNP z okresu II Rzeczypospolitej Polski uważano jeszcze wtedy jako organizację nauczycielską, ale o charakterze „sanacyjnym” – jak wówczas to określano. W każdym bądź razie nie jest to z premedytacją, czy nieumyślnie popełniony błąd przez moją mamę. Pragnę bowiem bardzo zdecydowanie i wyraźnie zaznaczyć, że mama zawsze była bardzo dumna z przynależności do tej organizacji związkowej i nigdy jej nie dzieliła na

przedwojenną – jako lepszą – i powojenną – jako gorszą, chociaż wiadomo każdemu w jakich warunkach geopolitycznych ZNP funkcjonował po 1945 roku. Bowiem i dawniej tak jak i po 1945 roku obliczem Związku Nauczycielstwa Polskiego byli i są tylko jego członkowie. Godni, honorowi, życzliwi wobec innych i dbający o interesy pracowników. Niestety ale jak w każdym środowisku nie brakowało też i zakłamanych karierowiczów. Tak było i tak jest, i tego nigdy nie odmienimy.



Zdjęcia powyższe pochodzą z lat po 1948 roku. Zdjęcia klasowe ze Szkoły Powszechnej nr 9 im. Tadeusza Kościuszki w Sosnowcu. Stefania Maszczyk stoi w otoczeniu swoich wychowanków. Zdjęcia wykonano na malutkim placu szkolnym, usytuowanym poza piętrowymi komórkami, tuż przy nasypie torów Kolei Warszawsko – Wiedeńskiej.

* * * *

Warto podkreślić, że w tym „stalinowskim okresie czasu”, jak go współcześnie powszechnie już się określa, który nawet przeraził niektórych czołowych komunistów, dokonywały się w kraju wprost epokowe przeobrażenia i to w każdej niemal dziedzinie życia publicznego i prywatnego. W tym samym czasie jeszcze wielu z nas nie wiedziało, że nasi „zachodni sojusznicy” pozostawili nas zupełnie samych, a nawet po kupiecku sprzedali nas w obce ręce, i to dużo już wcześniej. Wielu z nas zadawało sobie nawet naiwne pytania dlaczego nas jako wiernych koalicjantów tak mizernie wspierali militarnie podczas II wojny światowej, w przeciwieństwie nawet do tych co stali po drugiej stronie barykady. **Jak komunistyczną partyzantkę Tito**. Nie tylko..... Dzisiaj na ten temat wiemy już znacznie więcej, szczególnie wiele pozyskaliśmy wiedzy od tych, których frapuje historyczna prawda o naszej przeszłości. Warto jednak też pamiętać i o tym, że wtedy kiedy wielu Polaków pragnęło już wreszcie normalnie żyć, a inni jak to bywało zwykle w dziejach naszej Ojczyzny robiło kariery zawodowe i przeobrażało swe dotychczasowe skrywane ideowe i patriotyczne oblicza, to innych dotknęły szykany, inwigilacja, zsyłki na Sybir, więzienia i to niekiedy wspólne pobyty w tej samej celi z niedawnymi do tej pory oprawcami niemieckimi. Wielu spotkała śmierć w ubowskich kazamatach, a później tajemne i milczące przez

lata doły śmierci. Szczątki niektórych polskich bohaterów, chyba więc ze wstydem, wydobywamy i odkrywamy dopiero dzisiaj..... O tym wszystkim zapewne wiedzą już obecnie wszyscy Polacy. Nie tylko Polacy. Przy omawianiu tych tematów nie trzeba bowiem nawet korzystać z fachowej publicystyki, czy z wyspecjalizowanych historycznych programów telewizyjnych, a przecież takich dzisiaj nie brakuje. Wystarczy tylko zerknąć do programów internetowych, a skala informacji jest tak przeogromna i nieocenzurowana jak to bywało w przeszłości, że zaspokoi ciekawość dosłownie każdą Polkę i każdego Polaka. Może na zakończenie jeszcze tylko wspomnę, że autor opuścił mury tego budynku jeszcze z czasów Rosji carskiej w czerwcu 1949 roku. Od września 1949 roku byłem już uczniem w Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica w Sosnowcu. Brat już wcześniej pożegnał się z tą szkołą, gdyż od czterech lat był już licealistą w tej samej placówce oświatowej do której zgodnie z tradycjami rodzinnymi dołączył też autor we wrześniu 1949 roku.

I już dosłownie na samo zakończenie.

Mama w marcu 1980 roku ku swemu zdumieniu otrzymała „**Medal Komisji Edukacji Narodowej**”. Miała już wtedy za sobą 73 lata życia. Było to dosłownie jedno i jedyne odznaczenie państwowe, jakie otrzymała po 1945 roku. Jak przypuszczam to specjalny wniosek odznaczeniowy został opracowany przez jej dawne jeszcze koleżanki z sosnowieckiego Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Marii Konopnickiej z zagubionej wśród innych pogońskich ulic, Brackiej, które jeszcze wtedy po skończonym już kursie komunistycznym w Katowicach, pełniły przeróżne funkcje w sosnowieckim Wydziale Oświaty. Czy ten nieprawdopodobny pedagogiczny gest był spowodowany wyrzutami sumienia za wyjątkowe przedwczesne usunięcie jej ze szkolnictwa, czy po prostu wnikał z innego powodu ? To tego oczywiście nie wiem. Autor całkiem przypadkowo w 2008 roku pozyskał publikację Związku Nauczycielstwa Polskiego Zarządu Oddziałowego w Sosnowcu pt.: - „**KSIĘGA ZASŁUŻONYCH** dla Związku Nauczycielstwa Polskiego i Oświaty w Sosnowcu”, gdzie również ku swemu zaskoczeniu i zdumieniu odkrył na jej kartach też swoją mamę (str. 104). Wielka szkoda, że jednak tego drugiego wyróżnienia nie doczekała się już jednak moja mama, gdyż zmarła w 1996 roku. Korzystając z okazji pozwałam sobie jednak zwrócić uwagę, że w dedykowanym w tej książce mojej mamy życiorysie zakradło się wiele błędów. W tym błędnie określono nie tylko datę jej urodzenia i śmierci ale wymieniono też kilka odznaczeń państwowych, których jednak nigdy absolutnie nie dostała.

Zawsze na swej długiej ścieżce życia szukałem dobrych i życzliwych ludzi. Bo cóż to za życie, gdy takich w pobliżu nas brakuje. Okazuje się, że tacy jednak też bywają. Szanowne Czytelniczki jak i Szanowni Czytelnicy !..... Oni byli i są nadal wokół nas, wystarczy tylko nie zamykać oczu. Bo nasze życie potrafi być przecież tak zagadkowe i tyle ma oblicz, że nie sposób przewidzieć wszystkiego....

.....

Uprzejmie przypominam, że wszystkie artykuły autora jak do tej pory są publikowane bezinteresownie. Z tego tytułu nie korzystałem więc dotąd nigdy i nie czerpię też nadal żadnych korzyści materialnych, ani też innych jakichkolwiek profitów, poza satysfakcją autorską.

Bardzo serdecznie dziękuję Narodowemu Archiwum Cyfrowemu w Warszawie za możliwość bezpłatnego opublikowania zdjęcia.

Artykuł w stosunku do pierwotnie opublikowanych w marcu 2013 i ponownie w lutym 2018 roku jest obecnie znacznie poszerzony o nowe fakty i prezentowane nowe zdjęcia oraz dokumenty rodzinne.

KATOWICE, PAŹDZIERNIK 2023 ROK

JANUSZ MASZCZYK